Lwów, 31. Stycznia. № 13. Rok 1854.

NOWINY

Wychodzą we *Wtorek, Czwartek i Sobote*. We Lwowie prenumerata roczna **6** Złr. — półroczna **3** Złr. — kwartalna **1** Złr. **30** kr. — miesięczna **30** kr. m. k. W kraju z przesyłką pocztową rocznie **8** Złr. półrocznie **4** Złr.— kwartalnie **2** Złr. m. k.

Ogłoszenia wszelkiego rodzaju przyjmują się za opłatą od wiersza za jednorazowe umieszczenie po **3** kr., za następne po 1½ kr. i za dopłatą 10 kr. stęplowego. Bióro expedycyi w księgarni *H. W. Kallenbacha* przy placu dykasteryalnym pod l. 41.

DWAJ BLIŹNIĘTA.

III.

Uczta weselna.

(Ciąg dalszy.)

Jak to zwykle bywa u kobiet przechodzących łatwo z jednej ostateczności w drugą, najwięcej się martwiła, gryzła i niepokoiła sama pani Miniecka, przewidująca tysiące niebezpieczeństw dla ukochanej Moduni. Bojaźń ta przybierając w jej myśli tysiączne postacie, stała się wreszcie tak znaczną, iż brała ją za rodzaj złowrogiego przeczucia, i nieraz w samotności robiła sobie z tego zarzut, że lekceważąc zarzuty mężowskie, najwięcej się przyłożyła do przyspieszenia tego związku. Lecz było to wszystko już po niewczasie; cofnąć się było niepodobieństwem, mianowicie przez sam wzgląd na Modunię, dla której drażliwego i dotkliwego usposobienia samo o tem wspomnienie mogło być niebezpieczne. Jedna Modunia była spokojna, bo nic nie wiedziała.

Pan Piotr, chociaż mu ten czarny Iwan stał oczywiście kością w gardle, pocieszał się nadzieją, że się go przecie tym lub owym pozbędzie sposobem. Nadzieję tę wzbudzał w nim Mykita, który od niejakiego czasu nie chciał się jaśniej tłumaczyć, zapewniał go, że znajdzie sposób schwytania tego najniebespieczniejszego herszta, bez którego oczywiście rozsypałaby się na nic cała jego zbierana hałastra. Wiemy już, że pan Piotr ufał zupełnie Mykicie, który mu dotąd dawał dowody nowej swej dzielności, a będąc zajęty miłością swoją, i nie należąc nigdy do bardzo jasnowidzących, nic dziwnego, że nie postrzegł żadnej zmiany w postępowaniu jego. A przecież zadrżałby pan Piotr niepospolicie, gdyby dostrzegł, jak nieraz Mykita okropnym spojrzy na niego wzrokiem, jaki zawzięty i nienawistny wyraz przeleci mu przez twarz. Jeżeli panu Piotrowi czarny Iwan nie jedną niespokojną sprawił chwilę, miał on jeszcze inny dokuczliwszy powód niepokoju. Pan Piotr nie miał złego serca, cóż więc dziwnego że mu nieraz przychodziła Olanka na pamięć, ciągnąc za sobą cały szereg przykrych wyrzutów sumienia. I nieraz łamał sobie głowę, jakby Olankę ułagodzić, ale na zarzut jego trzeba wyznać że żadnego na to nie wymyślił sposobu, bo czuł to, że krzywda biednej dziewczynie wyrządzona nie da się wynagrodzić zwykłym w takim razie datkiem pieniężnym. To była dlań prawdziwa zgryzota, bo jakkolwiek kochał Modunię serdecznie i całą duszą, Olankę wspominał sam przez siebie z pewnem uczuciem, i nie bez żalu przywodził sobie na pamięć chwile z nią przepędzone, chwile, w których Olanka jakkolwiek prosta dziewczyna, umiała zająć jego umysł i serce swoją bezgraniczną dla niego, uległą i do wszystkich poświęceń gotową miłością. I nie mógł nareszcie wytrzymać, i razu jednego zapytał nagle Mykitę:

— Co robi Olanka?...

— Olanka? powtórzył Mykita głosem, któryby uderzył każdego innego, tylko nie naszego rozkochanego i zakłopotanego pana Piotra. Lecz Mykita wnet się opamiętał, i odpowiedział najobojętniej:

— Leży chora w chacie...

— Cóż jej takiego?

— Ot głupia dziewka!... jakiegoś tam czarta zażyła, taj od tego czasu zaniemogła...

— Zażyła! wykrzyknął pan Piotr.

— I już podobno nie podniesie się więcej. I lepiej paniczu!... mówił dalej z podle pochlebnym wyrazem. Jeszcze by kiedy gotowa pobiedz do Zahorzec, bo to durnej dziewce przewróciło się w głowie... jak gdyby to nowina wielka, że się tam dziedzic poumizga do poddanki.

Darmo sadził się Mykita na podłości; pan Piotr nie uważał i nic nie słyszał. I nagle porwawszy za czapkę, pogonił prosto do chaty starej Warwary. I nie zważając na mruczenia wariatki rzucającej na niego wzrok zjadliwy, stanął przy nędznym tapczanie, na którym leżała Olanka, blada i chuda, z rysami przeciągniętemi, do trupa podobna.

— Olanko! biedna Olanko! zawołał pan Piotr.

— Panicz! panicz mój! zakrzyknęła dziewczyna składając ręce jakby do pacierza.

— I czemuż niedałaś mi znać Olanko!...

— To mój panicz! dobry panicz!... powtarzała Olanka, i nic innego powiedzieć nie umiała, ale oczy jej zabłysły, twarz ożywiła się pamięcią, cieniem dawnej urody i dawnego szczęścia.

— Olanko! ja ciebie przepraszam!... powiedział pan Piotr i powiedział głośno, bez wstydu.

— Dobry mój panicz! kochany panicz!... I dawne, dawno niewiedziane łzy potoczyły się po rumianej jej twarzy.

— Olanko! przebacz mi!...

— Niema przebaczenia! wrzasła przeraźliwym głosem waryatka, i nagle stanęła tuż prawie nad mówiącemi, dłu-

gą, wychudła, koścista, okropna wzrokiem. Zadrżał pan Piotr, zadrżała i Olanka.

— Zbliża się kara! kara! kara! i pomsta!... pomsta! zawyła wariatka nieludzkim głosem, i zaśmiała się śmiechem szalonym, i nazad znikła za piecem.

Z twarzy Olanki znikł chwilowy wyraz radości, i jeszcze więcej pobladła, ale za to wyraz jakiś poważny wystrzelił jej z oka. Znikła prosta chłopka, bo w niej samo serce przemawiało, serce poczciwe i szlachetne. A pan Piotr już zapomniał na krzyk wariatki, bo na widok biednej Olanki łzy mu się zakręciły w oczach.

— Mój luby paniczu! mówiła Olanka głosem rzewnym, przypominającym owe rzewne, serdeczne piosnki naszego ludu. Ja się nie gniewam na was, bo ja was mój paniczu zawsze kocham. I Bóg tam w niebie, do którego mi tęskno, widzi dobrze, że życzę wam paniczu z całego serca, życzę największego szczęścia, z tą panną któraście sobie obrali, wam równą... Życzę wam i jej, wam i jej błogosławię...

— Olanko! powtarzał pan Piotr rozczulony na prawdę.

— Ale paniczu! paniczu!... strzeżcie się!... mówiła dalej, i nagle urwała krzykiem przestrachu. Bo cztery okropnych, groźnych spoglądało na nią oczów. Były to oczy wariatki i oczy Mykity, który przybiegł za swoim panem, i w tej chwili wszedł do chaty.

— Saneczki już gotowe! przemówił naturalnym głosem.

A Olanka już nic nie mówiła, drżała tylko, i oczami podniesionemi ku powale, zdała się chcieć modlić i błagać opatrzności o szczęście i bezpieczeństwo dla lubego panicza swego.

Jeszcze raz spojrzał na nią pan Piotr, i uścisnął chudą dziewczynkę, i smutny wybiegł z chaty. I niewiedzieć dla czego po raz pierwszy spojrzał na Mykitę z rodzajem nieufności, którą sprytny góral postrzegł od razu. Smutny, zamyślony wsiadł pan Piotr do sanek. Mykita zaś pod pozorem swoich na czarnego Iwana planów, przyzostał w Kryweńce przeciw zwyczajowi swemu, zawsze bowiem towarzyszył panu Piotrowi w jego do Zahorzec wycieczkach. Jakoż skoro stracił z oczu saneczki, rzuciwszy za niemi wzrok pełen pogardy, zgrzytnął zębami Mykita, i doszedł znajomą nam już ścieżką przez las w góry, ku zwykłemu opryszków koczowisku. I nie po raz to pierwszy od onego czasu odwiedzał brata, i tak umiał się ułożyć, iż pomału czarny Iwan uspokoił się zupełnie co do owego zdybania przy chacie Małanki, i mniemał, że albo nie był wieczór poznany, lub że Mykita idąc za przykładem górali, ocenił te miłostki po ich właściwej małej cenie.

Pan Piotr pogonił zwyczajem swoim do Zahorzec, i jakkolwiek szczerze był poruszony, nic dziwnego, że widok Moduni zwrócił myśl jego na trop weselny. Patrząc w czułe i piękne Moduni oczy, zapomniał o Olance; wszakże on tonąc w jej oczach niebieskich, zapominał codzień o bożym świecie. Nad wieczorem, gdy właśnie zmęczeni kochankowie zaczęli w kąciku najczulej szczebiotać i gwarzyć i powtarzać się, słuchać się nawzajem, jakby najnowsze i najciekawsze do siebie mówili rzeczy, wszedł Mykita nagle do pokoju i choć ani słowa nie wymówił, tak wiele znaczące rzucił spojrzenie na pana swego, iż się pan Piotr zerwał równemi nogami, i zadrżał przeczuciem jakiejś wieści złowrogiej. Modunia, jak zwykle z wysokości swych marzeń niebieskich nic nie postrzegła.

— Koń zmęczony, trochę zasłabł! — ozwał się Mykita głosem obojętnym, którym tym razem nieoszukał pana Piotra. Jakoż niezważając nawet na to, iż to jego oddalenie się z pokoju dla słabości konia może się Moduni dziwnem wydać, wybiegł z Mykitą na dziedziniec.

— Co się stało? — zapytał go!

— Nic panie! dobrze tylko się stało, że ja został w Kryweńce, i poszedł na zwiady. Bo zaraz niedaleko na ścieżce postrzegłem chłopaka, o którym ja dawno już miał złe posądzenie, jak gonił gdzieś żwawo. Ja podumał sobie, gdzie on idzie? i tak szedłem za nim, a on szedł prosto z góry w dół, prosto tu do Zahorzec.

— Do Zahorzec? — zawołał pan Piotr z przestrachem i zdziwieniem.

— A tu! i ja sobie zaraz podumał, po co on tam idzie, i obiegłem kawał drogi, i tu niedaleko dworu stanąłem, i namówiłem naprędce starego Wasyla, co tu za karbowego służy, ażeby czekał na niego w samej bramie. A ja sobie w kącie przycupnął, i patrzę i dumam, aż tu nadszedł chłopiec. I nuż Wasyla nudzić, żeby go do samego państwa zaprowadził Ale Wasyl już namówiony przezemnie tak go zgrabnie uchodził, że mu oddał jakieś pismo które Wasyl wziął by oddać dziedzicowi tutejszemu.

— I oddał?

— A od czegóż Mykita! — zaśmiał się dobrodusznie góral przebiegły. Ot tu je pismo! — dodał, i wręczył je panu Piotrowi.

Łatwo pojąć co się działo z panem Piotrem, gdy otworzywszy pismo, poznał, że to list czarnego Iwana do pana Minieckiego, odkrywający mu stosunek pana Piotra z Olanką i wszystkie onego skutki, z dodatkiem nawet wiadomości o jego dzisiejszych odwiedzinach, które z daleka wyszpiegował. Kończył nareszcie list radą, by dziedzic Zahorzec nie robił córki nieszczęśliwą, wydając ją za człowieka, którego prędzej czy później dosięgnie zemsta krwawa czarnego Iwana, za dawne krzywdy.

A gdy ochłonął nieco pan Piotr, aż uścisnął Mykitę, który go nawzajem pokornie w rękę pocałował. W tej chwili znikł pewnie wszelki w nim, jeżeli istniał jeszcze, ślad nieufności.

A Mykita raz go jeszcze uspokoił, przysięgając mu na wszystko święte, że już tak ułożył rzeczy, iż wkrótce bę-

dzie mógł ułowić czarnego Iwana, i oddać go w ręce pana Piotra.

— Byle prędzej! mój Mykito! żeby mieć spokój przed ślubem jeszcze.

— To moja w tem myśl, ale za czas i godzinę ręczyć nie mogę — odpowiedział Mykita.

A tymczasem dzień po dniu mijały zapusty, i przyszła nareszcie upragniona ostatnia niedziela na ślub przeznaczona. Ślub miał się obbyć rano w Zahorcach, poczem rodzice mieli państwa młodych odprowadzić do Kryweńki. Gości bardzo mało było zaproszonych; państwo Minieccy bowiem chcieli uniknąć wszelkiej wystawy która przy stanie umysłowym ojca pana młodego wydała się im nieprzyzwoitą dla wszystkich; to też parę tylko najbliższych krewnych państwa Minieckich zaproszono, bo pan Piotr jak wiemy sam żadnych nie miał własnych krewnych. Niemało biedak miał kłopotu, za nim wytłumaczył ojcu, że się ma żenić. Stary stawał się codzień mniej przytomny, a gdy nareszcie zdało się że zrozumiał słowa i myśl synowską, przypomniawszy sobie zapewne jakiś ułamek dawnych myśli i uczuć, zaczął syna wypytywać z wielką na pozór uwagą, czy jego przyszła żona jest dobrą szlachcianką.

— Byle nie obca jaka! nie córka przywędrowanego jakiego inżyniera! — krzyczał nieustannie.

— Polka! swoja! szlachcianka! — powtarzał mu syn tyle razy, iż nakoniec stary zdawał się pojmować i uspakajać, i zaczął nawet dawno nieruszane przewracać herbarze. I jakoż w dzień ślubu udało się synowi namówić ojca do staranniejszego ubrania, w którem miał oczekiwać na przybycie państwa młodych i tych kilku spodziewanych gości.

Jeszcze dnia nie było, gdy się pan Piotr tem wszystkiem zajmował i ostatnie swe domownikom dawał rozporządzenia. I już się brał gnany niecierpliwością do własnego stroju, gdy wszedł Mykita. Pan Piotr niepomału się zadziwił, widząc go w codziennym, przeszarzanym nieco stroju.

— Cóż to? nie ubrałeś się jeszcze?

— Bo ja panie zostanę w Kryweńce!

— Zostaniesz?

— Com przyrzekł, to dotrzymam, bo Mykita słowny! — Dziś jeszcze czarny Iwan będzie w ręku moim.

— Dziś jeszcze! dla czego dziś właśnie!

— Tak się jakoś ułożyło! dziś albo nigdy!

— Jakim sposobem! czy to pewne?

— Już ja go przywabił w łapkę zastawioną, dziś on będzie w ręku moim, i dziś go zaraz powiozą do cyrkułu, bo pan w dzień ślubu nie będzie miał czasu.

— Nie! nie! ja go chcę widzieć, sam! on mnie dosyć gorącego sadła zalał za skórę.

Mykita dobrze znał pana swego, przewidywał zatem to jego żądanie; jakoż po długich rozhorowach, stanęło na tem, że ponieważ nie można go w taki dzień wprowadzać do dworu, pan Piotr miał na dany przez Mykitę znak wyjść niepostrzeżony w pewne niedalekie miejsce umówione, by zobaczyć czarnego Iwana, już złapanego! Znakiem przez Mykitę danym miał być wystrzał.

Spokojniejszy i weselszy jakim dawno już nie był, wyjechał nasz pan Piotr do Zahorzec; bo chociaż niezaprzeczoną jest rzeczą, że miłość prawdziwa uszlachetnia serce człowieka, i robi go czulszym, pobłażliwszym, niemniej także jest prawdą, co już starożytni utrzymywali, że zemsta jest to potrawa bogów, a cóż dopiero dla słabych śmiertelników! W pośród też najsłodszych marzeń o chwili tak bliskiej a tak pożądanej, z upodobaniem zatrzymywał się pan Piotr na myśli, że za godzin kilka będzie miał w swej mocy wroga swego osobistego, który mu już tyle wyrządził złego, i ciągłemi groźbami swemi niepokoił go bezustanku, jakby orężem Damoklesa.

Nie będziemy się rozpisywać szeroko nad ceremonią ślubną, która odbyła się w pokoju, tym samym co wszystkie inne śluby trybem. Były łzy szczere i szczere błogosławieństwa rodziców; były rzewne i szczere łzy bienej Moduni, która w tej dopiero chwili ostatniej, wracając do dawnych uczuć, zapomniała na chwilę o wszystkich marzeniach przedślubnych, by sobie przypomnąć, że to jest chwila rozstania się z rodzicami drogiemi, z tym domkiem rodzinnym, w którym wesoło i swobodnie dziecinne przeskakała lata, że to jest pożegnanie na zawsze tylu lat i tego całego życia, którego wszystkie chwile stały przed jej myślą, jak dawno znajomi, poczciwi, serdeczni przyjaciele, których żegnać już na zawsze potrzeba, i rzucić się w środek świata nowego, nieznanego, który czem będzie dla niej któż przewidzieć może? A i rodzice w głębi serc swoich omal nie żałowali, bo to ciężkie dla nich pytanie: a czy będzie Modunia szczęśliwa? coraz groźniej stawało im przed myślą. Jakiś smutek mimowolny, który człowiek do przesądów skłonny przechrzci zaraz przeczuciem, ściskał im serca. Gości, którychby przytomność mimowolnie rozrywać musiała, jak mówiliśmy, było bardzo mało. Najważniejszą pomiędzy niemi była stara babcia Moduni, matka pani Julii. Była to staruszka, ułomna ciałem, ale za to czerstwa duszą najszlachetniejszą, sercem najpoczciwszem. Była to prawdziwa babka starych czasów, rzucająca przed nogi wnuków wszystkie resztki swoich uczuć, spotęgowane tą myślą, że to jest już uczucie jedno pozostałe, uczucie ostatnie. Poczciwa staruszka błogosławiąc całem sercem, całem też sercem płakała. Jednem więc słowem ogólne usposobienie było smutne i ponure, do czego przykładał się niepomału sam pan młody z swą myślą rozerwaną.

(D. c. n.)

Trzej Indyanie.

(Z Lenaua.)

Gniewem przestwór nieba się zapala,
I olbrzymie dęby wichr obala,
Nijagary już niesłychać biegu;
A błyskawic rózgi płomieniste
Szybko fale smagają pieniste,
Iż w swym gniewie powódź ślą do brzegu.

Po nad brzegiem stoją Indyanie,
Podsłuchują wściekłych fal hulanie,
Podsłuchują boru jęk złowrogi.
Pierwszy starzec, włos mu śrebrzy skronie,
A po jednej i po drugiej stronie
Dwaj synowie, wszyscy wolni trwogi.

W syny swoje wtopił starzec oczy,
A widnokrąg przed nim się zamroczy
Czarniej od chmur, gdy pioruny łysną;
A wzrok jego dzikszem światłem błyska,
Niż grom, co przez chmury się przeciska,
I te słowa z serca mu się cisną:

»Klnę was bieli, klnę stóp waszych ślady!
Klnę was fale! coście w te osady
Tych żebraków ongi sprowadziły,
Klątwa wiatrom, co ich statki gnały!
I tym falom, co niezdruzgotały,
I w dno morskie ich niepogrążyły.

Codzień teraz, w podłych żądz zapale,
Ich okręta porzą nasze fale.
Grady kul na brzeg nasz ślą zniszczenie.
Okrom wstrętu, co go śmieré niezmaże,
Cóż nam zostawili ci zbrodniarze?
Chodźcie dzieci! spełńmy przeznaczenie!«

I od wierzb nadbrzeżnych odrzynają
Nawę i na środek ją spuszczają,
Już korytem Nijagary brodzą,
Potem w wodę porzuciwszy wiosła,
Gdy ich fala coraz szybciej niosła,
Rzewną nutą śmierci hymn zawodzą.

Z czarnych chmur wylata grom po gromie,
Od błyskawic światła, nawa płonie,
Ją okrąża stado mew ochocze.
Indyanie płyną w dzikim pędzie,
Nucą uderzając o krawędzie,
I w katarakt grążą się przeźrocze!

r. 1853. *Karol Szajnok.*

Pan Zygmunt w Hispanii.

Powieść prawdziwa z ostatniej wojny domowej w Hiszpanii p. Dr. Tripplina.

Powieść ta wyszła w r. 1852, a zatem w właściwem tego znaczeniu nie jest już powieścią nową, mianowicie dla Warszawy, Wilna, Petersburga. Dla nas, do których wszystkie książki w Polszcze i Rossyi wydane daleko poźniej dochodzą, jest ona nowa jeszcze książka. I tem więcej nową, że żadne z pism lwowskich nie zwróciło uwagi na tego pisarza, jakkolwiek ta powieść w szczególności, a wszystkie pisma Dr. Trypplina w ogólności, zasługują ze wszechmiar, nie tylko na wspomnienie, ale nawet na bliższy onychże rozbiór. Postanowiwszy w piśmie naszem zostawić miejsce, na jakie objętość pisma zdobyć się może, na wszelakie recenzye, zanim przystąpimy do obszerniejszych tego znakomitego autora »Opisów podróży,« pozwolimy sobie rzucić tu kilka uwag, które nam nastręczyła ta tyle sławiona powieść. W rzeczy samej jest to powieść zajmująca nadzwyczaj i układem i nowością treści. Dla nas, którzy znamy zapewne Hiszpanią z dawnych już tylko, przebrzmiałych pamiątek naszych Napoleonskich wiarusów, lub z suchej historyi, a ostatnie zdarzenia wojny Chrystynosów i Karlistów z wiadomości gazeciarskich tylko, musi być ciekawa powieść napisana przez człowieka, który sam długo bawił w Hiszpanii, tyle co pan Trypplin posiada pojętności i głębokości w poznaniu rzeczy i ludzi, a tak wiele talentu w oddaniu żywo i artystycznie tych własnych, doświadczeniem wielorakiem nabytych wrażeń. I podnosi się interes niepomału przez to, że głównym bohaterem powieści jest nasz ziomek: młodzieniec z głową, niedoświadczeniem i namiętnościami poety, rzucony na obcą ziemię, w której ma sobie zdobyć stanowisko w wieku, w którym się więcej buja po niebie, niżeli chodzi po ziemi, więcej marzy o niebieskich migdałach, niżeli pracuje na chleb codzienny. I takim w rzeczy samej jest nasz bohatyr, pan Zygmunt Zapolski, którego charakter nietylko indywidualnie jest dobrze schwycony, ale przedstawia nam zarazem, żywy i rzeczywisty typ naszej polskiej młodzieży szlacheckiej, z sercami na oścież otwartemi na wszelkie wrażenia, z poczciwością i szlachetnością w duszy, marzeniem, wieczną gonitwą za ideałami w głowie, z krwią namiętną, która je goni naprzód za każdym nowym choćby błędnym ogniskiem, bez rozwagi, ale z zapałem; typ młodzieży dobrej, butnej, czynnej na pozór, ale w praktycznem znaczeniu najmocniej próżniaczej, kończącej w wieku poźniejszym nie na zwyczajnie z wiekiem przychodzącem doświadzeniu, ale na odczarowaniu, i siłach połamanych w tej donkiszotowej walce z utopiami filozoficznemi i innemi idealnemi wiatrakami. Takim jest p. Zygmunt, który w roku 19. życia okolicznościami wypędzony z pod strzechy rodzinnej, nauczywszy się mnóstwa rzeczy, a umiejący bardzo mało, z poezyą w głowie, i nie złym talentem malarskim, znajduje się za granicą. Oficer Donpedroski, z niewielkim zasobem pieniężnym, ale za to olbrzymim w nadziei i z teką malarską, znajduje się w małem miasteczku hiszpańskiem, nad morzem. Pobyt jego w tem miasteczku, gdzie Hiszpanie, a mianowicie Hiszpanki polubiły go przez wzgląd na to nasze usposobienie, na poły marzące, na poły swawolne, tęskne i wesołe razem. Dwie figury: doktora i kapelana, którzy naszego bohatyra pokochali serdecznie, klasztor Norbertanek w którym Zygmunt kopiuje cudowny obraz Matki Boskiej przez Murylla

malowany, i inne mniejsze tej pierwszej scenery dodatki i dekoracye, noszą na sobie koloryt nadto artystyczny, by nie był wiernym kolorytem ojczyzny Cydów i mnichów, bohatyrów i rozbójników, ojczyzny pełnej słońca na niebie, a ciemnoty na ziemi, poezyi na poły jeszcze maurytańskiej i przywiązania do tej pięknej ziemi posuniętego aż do barbarzyństwa. Kopia obrazu udaje mu się doskonale, lecz za to zdybuje go w tymże samym klasztorze wydarżenie, które ma stanowczo wpływać na jego całe życie. Pojawia mu się z za kraty postać blada, smutna tragiczna kobiety, anioła, Arragonki z tem okiem, którego spojrzenie wpaja się w duszę wyrazem nieba, a w krew wyrazem ziemi. Prosi go pisemnie o ratunek, opowiadając mu dzieje okrutnych prześladowań doznanych w klasztorze. Donna Fernanda (jest to jej przybrane czyli raczej gwałtem nadane imię), pochodzi z rodu świetnego; ma brata przyrodniego, który częścią dla majątku, częścią zaś dla różnicy zdań politycznych, tej Eumenidy wkradającej się w najściślejsze stosunki rodzinne, wysyła ją gwałtem do klasztoru. Zwolennik Chrystyny i młodej Izabelli, nie cierpi w siostrze rodzonej zwolenniczki Don Karlosa, do którego stronnictwa należała matka Donny Fernandy. Rycerski potomek rycerskiej szlachty polskiej, rozmarzony wdziękami Hiszpanki, w której widzi dawno marzony ideał, używa rozmaitej dyplomacyi, i przyprowadza do tego, że dla suchot, które Hiszpanka silnej i nieugiętej woli udaje już od dawna, pozwalają jej jechać pokryjomu do Kadyxu, gdzie jest także klasztor Norbertanek, aby tam w innem, zdrowszem odżyła powietrzu. Ale łatwowierny jak prawdziwy Polak ani się domyśla, że Hiszpanka pragnąca tylko zemsty nad swemi prześladowcami, chociaż rozczulona nieco widocznem a namiętnem przywiązaniem Zygmunta używa go tylko za narzędzie, które się używa jeżeli potrzebne, a potem porzuca, gdy przestaje być pożytecznem.

Zakochany szalenie, gdy się dowiaduje, że już ma wyjeżdżać, nie dawszy mu żadnej o tem wieści, potrafił się wkręcić na statek, który ją wiezie do Kadyxu, i staje tam przed nią, ale trafiony jej dumnem i prawie pogardliwem spojrzeniem, traci przytomność i jest bliski rozpaczy. W tem burza; burza na morzu wściekła, opisana żywo, kapryśnie, zuchwale, i z niedbałością razem, rodzaj szkicu pisanego, jakby owe mistrzowskie szkice koni Orłowskiego. Niebezpieczeństwo widoczne, bliskość śmierci, samotność pod pokładem, gdzie oboje zamknięci, wspólność tych wszystkich najgwałtowniejszych uczuć człowieczych, rozbudzonych śród gromów ryku, wiatrów poświstu, między niebem a ziemią, niepewność chwili co przyjdzie; trochę czułości rozbudzonej w Hiszpance, a więcej jeszcze jej krew południowa, zpotęgowana elektrycznością podwójną, burzy żywiołów i burzy zmysłów, wszystko to razem robi, że Hiszpanka zwalczona, ulega Zygmuntowi ciałem zupełnie, a duszą po połowie tylko. Burza się zmniejsza, ale szyper raniony, sternik umierający, a maszty i żagle połamane i potargane. Zygmunt, który jako Polak prawdziwy, wszystkiego umie potroszeczce, odbiera komendę i sternictwo, i przykłada się głównie do wyratowania statku, przez co rośnie w cenie i wartości przed piękną Fernandą, która chwilę słabości, pokrywa postępowaniem na poły czułem, na poły dumnem, pełnem uroku, ale i kaprysów. Nowe nastają epizody! zdybanie parostatku angielskiego; młody midshipman pełen grzeczności i dumy albiońskiej zpotęgowanej w samym kapitanie do najwyższego stopnia, same to opisy żywe, bo prawdziwe, bo zapewne doświadczone. Zjawia się i człowiek skryty, połowiczny, dowiaduje się o losach Hiszpanki, i chce się w nie wśrubować dla swej korzyści; znienawidza naszego bohatyra, oszukuje go i w czasie snu jego, snu podobno sztucznego, gdy przybija parostatek do Kadyxu, ujeżdża z Fernandą, dając się jej użyć za dalsze narzędzie. Zygmunt prawdziwie mądry Polak po szkodzie, zostaje tylko z listem, w którym mu Fernanda obiecuje dać wiedzieć o sobie za miesięcy kilka. Tu następują epizody po epizodach, przez które przesuwa się jedna choć różnobarwna niteczka losów p. Zygmunta. Czeka na list w Sewilli podobno, zaprzyjaźnia się z Anglikiem. Zestawienie obu typów, Anglika i Polaka wyborne; Anglik metodysta, chciałby nawracać z biblią w ręku; Polak entuzyasta, czy z pędzlem by marzone malował arcydzieła, czy z pałaszem, by nim cuda dziejowe wypisywał, czy z żądzą za tą kochanką, raz posiadaną na to tylko, by mu w serce wszczepiła wieczną tęsknotę, wieczną miłość. Pokochali się, bo obaj młodzi, a nawet podobni do siebie, jakiemś może podobieństwem północnego więcej pochodzenia. I znowu epizod cudny; jadą młodzieńcy by poznać w górach herszta rozbójników sławnego Don Nawarra, prawdziwego rozbójnika hiszpańskiego, trochę rabusia a trochę bohatyra. Scenerya i dekoracye doskonałe, żywcem zeszkicowane. Niespodziewając się, zdybują Nawarra, który na nich już czekał i zdybał ich pod innem nazwiskiem. Zygmunt, który ciągle myśli o Fernandzie, zdybuje tam jej ślad w przejeździe owego księdza. By się więcej dowiedzieć, udaje się do młodziuchnej i bardzo ładniutkiej Ildefonsy, córki Nawarra która po raz pierwszy na widok Zygmunta uczuła, że już ma serce pod ledwie zaokrąglonem sercem dziewiczem.

I w pośród festynu, który daje Nawarro w ukrytej i skałami otoczonej dolinie, z oświeceniem, muzyką i fajerwerkiem, zeszli się gdzieś oboje, po za jakimś krzakiem. Nie byliśmy w Hiszpanii, nie znamy Hiszpanek, jakkolwiek marzyliśmy nieraz rozmarzeni opisami, o ich gorącem spojrzeniu, gorętszym pocałunku, a najgorętszej krwi; musimy więc wierzyć autorowi, który tam był młodym, że gorętsze od najgorętszych opisów są Hiszpanki. Dosyć że pan Zygmunt — nie wiem czy to już jako prawdziwy Polak, czy jako oddany lat kilku życiu awanturniczemu — dowiedział się od córki Nawarra nie tylko to

co chciał, ale i coś więcej, ze szkodą biednej dziewczyny. I tak po nitce dochodząc kłębka, zdybuje ślady nie tylko księdza, ale i samej Fernandy, i dowiaduje się wreszcie, że została wraz z innemi podróżnemi pojmaną przez jeden z wałęsających się oddziałów karlistowskich. A że w szalonej pałce polskiej szalone roją się myśli, więc wyprasza od przyjaciela Anglika nazwisko i paszport, i wali wprost do obozu karlistów, z trąbką i chorągiewką parlamentarską.

(D. n.)

Teatr.

Wróżka, dramat w 5. aktach. (Dokończenie.)

Smutny to jest obowiązek krytyka: niemódz podczas przedstawienia scenicznego oddać się zupełnie wpływowi gry artystów, lecz wciąż nożem rozbierczym śledzić za wątkiem sztuki, za wynikłością i znaczeniem charakterów, wciąż grę aktora odnosić i przyrównywać do tego znaczenia, wzbraniać się wszelkiemu uniesieniu, któreby podobne odnoszenie niepodobnem uczyniło. A przecież zdarza się czasem gra, gdzie postanowienie wzbraniania się od uniesień rozwiewa się w niwecz. Poetyczność i prawda gry scenicznej porywa za sobą i najzimniejszego, najrozważniejszego widza. Zapomina on iż jest w teatrze, iż ma scenę przed sobą. Uniesiony całą duszą rzuca się za natchnieniem artysty, za biegiem przedstawienia. I zaledwie spadająca zasłona z tej ułudy wywieść go zdoła. Podobny wywrzeć wpływ grą swą jest tryumfem dla artysty. A kilkakroć przy przedstawieniu Wróżki doznaliśmy tego wpływu. Przez odwlekanie tego przedstawienia mieli czas aktorowie wdrożyć się w swe role i dlatego gra wypadła tak wybornie, jak od dawna nie przydarzyło się na tutejszej scenie.

Rażącym jedynie rozdźwiękiem w tej ogólnej harmonii było odezwanie się pani Aszpergerowej z wyrzutem do zgromadzonej publiczności. Czyż godziło się syczenie kilku półgłówków zaledwie dosłyszane brać za dowód ansy całej publiczności do artystki, której talent jest tak powszechnie uznany?

Najlepszem odparciem podobnych niechęci spowodowanych osobistemi uprzedzeniami jest wyborna gra. Inaczej artysta bronić się niepowinien. Co spowodowało tylekrotne huczne przywoływania i oklaski, któremi obsypywano poźniej panią A. czy jej obrona, czy gra mistrzowska? Bez wątpienia to ostatnie. Prawdziwy talent nie powinien się obawiać żadnych zawiści.

Lecz wróćmy do gry artystów. Po przedstawieniu Chaty wuja Tomasza powiedzieliśmy zdanie nasze o grze artystów. Było ostre ale sprawiedliwe. A dowodem tego drugie przedstawienie tej sztuki. Każdy z artystów widocznie starał się w niem umknąć wytkniętych błędów. Panna Radzyńska umodulowała więcej stopniowanie swej rozpaczy. Pan Gołębiowski usiłował wyłamać się z donkiszoteryi. Nawet pan Nowakowski poważniej wziął swą rolę i niewywoływał już śród najtragiczniejszych scen homerycznego śmiechu. To też drugie przedstawienie Chaty wuja Tomasza nierównie lepiej niż pierwsze wypadło.

Podobnie ostrego sądu jak poprzedni, o Wróżce wyrzec nie można, bo nikt z grających źle niepojął swej roli, i każdy dobrze pojętą o tyle dobrze odegrał, o ile jego talent i indywidualność takowej podołały. W pannie Radzyńskiej widzimy chęć usilną dorównania grą swą pierwszej naszej artystce. Jest to zamiar bardzo chwalebny, a wytrwale dokonywany daleko doprowadzić może. Jedną wadę dostrzegamy zawsze w grze p. Radzyńskiej. Sceny pojedyncze, pojedyncze chwile udają się jej często wybornie. Całości charakteru trudno jej przeprowadzić wynikle przez kilka aktów. Wypada często z roli. W prawdzie w sztuce ostatniej mniej tej wady dostrzedz można było, a niektóre sceny powiodły się jej bardzo szczęśliwie. Tyle tylko zarzucić by można iż już w pierwszym akcie jako wróżka w swem tajemniczem laboratorium większą jeszcze tajemniczością, większą mistycznością w ruchach, w głosie, w grze otoczyć się powinna była. Nie wytykalibyśmy p. Radzyńskiej tej wady dzisiaj gdybyśmy jej chęci widocznej do emulacyi, do kształcenia się wskazać nie chcieli i usterek drobniejszych. W ogóle naszym artystom tę prawdę przypomnieć musimy, że gdzie charakter jest z gruntu zły do przedstawienia, tam trzeba uzasadnić go i ludzkim go zrobić, demonicznością. My powinniśmy widzieć że tym złoczyńcą jakiś niezbadany, niezgłębiony demon pędzi. Zimne powszednie zbrodniarstwo nie należy na scenę. To niechby pod rozwagę wzięli panowie Rejmers i Gołębiowski, którzy najczęściej w podobnych rolach występują.

Grze reszty artystów grających główne role i najwymyślniejsza krytyka nicby zarzucić nie zdołała. Pani Aszpergerowa nowe złożyła dowody, iż jest nie tylko pierwszą artystką na scenie lwowskiej ale w ogóle polską. Scena gdy poznaje swą córkę pewnie nie tak prędko wypadnie z pamięci publiczności lwowskiej. Podobne mistrzostwo nie tak łatwo widzieć można. Pan Smochowski przeprowadził doskonale ten pod względem psychicznym wielką prawdę w sobie mający charakter męża, którego bezwzględny sąd o honorze swym i o winie żony łamie dopiero widoczna utrata tej żony, i to w chwili gdy on dowiaduje się o jej poświęceniu się bez granic i że wina jej nie jest tak wielka jak sobie wyobrażał. Panna Kasprzycka z czuciem i dobrem pojęciem oddała swą rolę. Osobliwie wspomnieć musimy pana Miłaszewskiego, jako młodego i kształcącego się artystę, który swą rolę i dobrze zrozumiał i należycie, spokojnie a z prawdą oddał.

Rozmaitość.

Kraków 26. Stycznia. Gdyby to każdy uśmiech był zwiastunem radości, i każde chwilowym szałem spowite wesele wynikiem wewnętrznego szczęścia, w miarę tegorocznych zapust nie inaczej, jak tylko szczęsnym, wolnym od wszelkiej troski i kłopotu nazwać by Kraków wypadło. Ależ nieraz i w smutku i biedzie, by niejako zabić, przytłumić bolesne uczucie, rzucamy się w zamęt światowych uciech i zabaw. Niedziw więc że i u nas nienajgorzej się bawią.

Dotychczas wprawdzie ograniczano się na samych prywatnych, domowych pohulankach; lecz już z 28 b. m. w dawnej resursie obywatelskiej rozpocząć się mają bale, i słuszne roszczą nam nadzieje, iż jak w zeszłym tak i w obecnym roku wielce się przyczynią do ożywienia zabaw karnawałowych.

Pierwsze dwie redūty jak zwykle nienajlepsze, kilkanaście masek zwyczajnych co do stroju i dowcipu, zresztą orkiestra pod dyrekcyą pana Friedel, dyrektora orkiestry teatralnej, licha; stąd miasto zajęcia i zabawy, istne nudy. I bal w resursie niemieckiej zapowiedziany na 21. b. m. zupełną poniósł klęskę. Na próżno oczekując do 11. godziny przybycia choćby jednej danserki, każdy rad nie rad do domu powrócić musiał. W pierwszych czasach swego istnienia pod czynnem przewodnictwem pana Reinoszki byłego c. k. radcy kameralnego, dzięki osobistym jego zabiegom, z przyjemnością tamże niejeden wieczór w zapusty spędzić było nam wolno. Z zmianą dyrekcyi i pierwotna jej świetność zagasła.

Dziś pierwsze przedstawienie paryskiego magika Philippe, który opuściwszy na czas ograniczony, czy na zawsze teatr na *boulevard Bonne Nouvelle*, przed parą dniami i do nas zawitać raczył; a że niniejsze usposobienie publiczności naszej pomyślność mu wróży, o tem ani wątpić. Nierównie zaś większą radość sprawiło nam pierwsze pojawienie się na scenie niemieckiej w melodramacie, Perła z Chamouny, panny Ling, artystki Josephstadzkiego teatru, która w głównej roli Sabaudki Chonchon, tak śpiewem jak i grą, pełną życia potrafiła ogólne zjednać sobie zadowolnienie.

Cóż powiem o życiu literackiem w naszem mieście? dwa, trzy dziełka szkolne dla użytku uczącej się młodzieży, kilka broszurek wydanych ostatniemi czasy, kilka tłumaczeń, kiedy niekiedy krytyka w feiletonie Czasu, ot i wszystko, co by świadczyć mogło o jakimś życiu umysłowem w Krakowie. Za to stolikomania coraz to obszerniejsze zajmuje pole działania, w skutek czego najniedorzeczniejsze baśnie dolatują cię co chwila. Próżność, której nad spodziw bardzo podchlebiają stolikowe duchy, niepohamowana skłonność do plotek, w końcu brak wiary, oto są według mego zdania główne przyczyny tej tak u nas rozpowszechnionej zarazy.

Autorowie i księgarze we Włoszech. — Zostałby wyśmiany autor, gdyby się poważył proponować księgarzowi wydrukowanie swojego utworu, a cóżby się dopiero z nim stało, gdyby za takowy utwór żądał wynagrodzenia. Wenecya, Florencya i Medyolan, są jedynemi miastami, gdzie autor za swoje prace mierne wynagrodzenie odbiera. W Medyolanie i Florencyi, arkusz druku dochodzi do 40 franków. Uczony, któryby swoją literacką pracą chciał sobie jaki taki mająteczek zrobić, jak Pope i Walter Scott, wyżywić swoją familię, nabyć potrzebne mu książki, lub przez siedzenie nadwerężone zdrowie poratować podróżą, musiałby od 30 roku życia do 60, napisać 60 tomów! I po tej ciężkiej pracy nawet, niebyłby w stanie nic oszczędzić dla lekarza, aptekarza i na koszta pogrzebu, gdyby nie chciał być ciężarem gminy. Jak powiedziano, 40 franków za arkusz, to niemała suma! Najznakomitsi autorowie piszą bardzo chętnie za tę cenę. Moglibyśmy wymienić męża, którym się całe Włochy szczycą, a który nie brał więcej za arkusz nad 40 franków.

Oddajesz twój rękopism księgarzowi, przygotuj się zaraz na poniżające upokorzenie, otrzymasz bowiem rękopism nie przeczytany, lub po 1 cekinie za arkusz. Kalendarze (które tak ważne we Włoszech odgrywają rolę), nie są lepiej płacone. Kalendarz o 2 lub 3 tysiącach egzemplarzy, czyni autorowi dochodu pięć cekinów za arkusz. Jest autentycznem, że pewien autor za dziełko swoje sześcio arkuszowe. które 1000 prenumeratorów liczyło, dostał 10 skudów. Tłomaczenia z greckiego, przynoszą 16 franków, 16 medyolańskich lirów za arkusz. (Lira czyni $^{3}/_{4}$ franka). Tłomaczenia z francuskiego, od ośmiu do dwanastu franków. Składacz w drukarni daleko więcej zarabia, niżeli autor. Tragedye i najlichsze ramoty na jednej ważone są szali. Jeden tylko Monti, za swoje tłomaczenie Homera, 4,000 fran. otrzymał.

Z drugiej strony wprawdzie przyznać należy, że dzieła naukowe we Włoszech zaledwie nakład wracają, a z historyą, badaniami archeologicznemi i t. d., z tem, co Włoch pod imieniem erudizione zwykł pojmować, a na co w naszym języku nie ma wyrażenia, daleko gorzej idzie.

I nie należy się dziwić. Pierwsze wydanie Adelchi, kosztów nakładu nie powróciło w kraju, gdy przeciwnie w Jena, to samo wydanie wielki pokup miało, a nierównie większy tłomaczenie we Francyi i Niemczech. Grzech ten nie na samej publiczności spoczywa. Większą część onego przypisać należy księgarzom. Nie mając bowiem żadnych bibliograficznych ogłoszeń, publiczność zasięga dopiero wiadomość z pism zagranicznych, co się nowego na polu literatury w ich kraju pojawiło. Każden księgarz na swoją rękę handel prowadzi, nie myśląc o środkowym punkcie, jak np. Lipsk w Niemczech. Katalogi dzieł nowych wyszłych z pod tłoczni drukarskiej, ukazują się tylko w prowincyach Lombardzko-Weneckich.

Wystawmy sobie teraz, cały półwysep na tyle większych i mniejszych części podzielony, z których każda ma swoją osobną cenzurę; że książka z jednego końca Włoch na drugi wysłana, tyle granic przebywać musi, zwróciwszy uwagę na niezmierne cło, któremu osobliwie książki podlegają, gdy np. gazeta do Neapolu wprowadzona 3 razy większej opłacie niż jej wartość ulega. Wziąwszy to wszystko pod ścisłą rozwagę, łatwo sobie wystawić, że w kraju takim ani handel księgarski kwitnąć, ani zamiłowania do niewdzięcznej pracy literackiej, być nie może.

Zygmunt Kaczkowski napisał do tej chwili 12 tomów powieści: Ostatni z Nieczujów 4 tomy. Mąż szalony tom 1. Bracia ślubni (obecnie drukuje się w gazecie Warszawskiej) 3 tomy. Wnuczęta, powieść współczesna 4 tomy. Oprócz tego wykończa teraz dwie powieści dwutomowe z obecnych czasów i „Podróż po wschodniej Galicyi.“ Na przyszłość zaś zamierza pisać powieść z czasów Kazimierza Jagielończyka i Olbrachta, i zajmuje się studyami historycznemi tej epoki. W krótce i nasz dziennik będzie mógł poszczycić się w swych kolumnach powieścią tego do najznakomitszych dzisiaj należącego powieściarza polskiego.

Michał **Oczapowski**, Radzca Stanu, Członek Rady Wychowania, b. Dyrektor Instytutu Gospodarstwa wiejskiego i Leśnictwa w Marymoncie zmarł dnia 21. stycznia w Warszawie.

Statek parowy **„Pernambuca,“** który 6. Września przeszłego roku z *Rio Grande* odpłynął, był 7. wieczorem okropną burzą porwany, z którą dwa dni walczył. 8. stracił już był ster, a 9. rano o godzinie 11. kapitan nie widział żadnego sposobu do ratowania okrętu, więc osadził go na mieliznie zwanej *Arrio da Cruz* odległej prawie trzy mili od *Cap-St. Martha*.

Pomimo największych usilności kapitana, dowodzącego swoim passażerom, iż w swoich pokojach zostać powinni, rozbicie to okrętu pociągnęło przecież za sobą stratę 50 ludzi. Między tymi wymieniają 20 letnią dziewczynę, cudnej piękności, która w *Rio* miała być poślubioną, a fale morskie zastąpiły jej ślubną suknię. —

W tym okropnem nieszczęściu, gdzie każdy tylko o ratowaniu swego własnego życia pamiętał, rzucił się był w morze wolny Afrykanin imieniem Simon i dziesięć razy przepłynął z morza do brzegu, i każdym razem silnem swojem ramieniem wyrywał jedną ofiarę śmierci. — Po tych dziesięciu razach okropnego wysilenia, chciał Simon trzęsąc się z zimna i osłabienia, członki swoje strętwiałe orzeźwić, siadając na piasku, gdy w tem matka rozpaczająca nadchodzi do niego, wołając, „Moje dzieci! ach moje biedne dzieci! Ratuj je!“ Simon, który tylko głosu ludzkości słuchał, wyzywa jeszcze raz jedynasty do walki wściekłe żywioły i wraca z dzieckiem.

A drugie dziecię, woła matka i szlachetny Afrykanin rzuca się na nowo w morze. Zapomina o znużeniu swojem, widząc tylko boleść matki i po raz dwunasty wraca z drugiem dziecięciem. Oto masz Pani zawołał, teraz nie płacz już więcej! —

Zdawało mu się iż dokonał już swego wielkomyślnego zadania i może cokolwiek odetchnąć, kładąc się na brzegu. Lecz jeszcze raz wznosi się krzyk; ciemny jeszcze pozostał na rozbitym okręcie. — Biedny ciemny! On już tylko pewnej śmierci oczekuje. Lecz i teraz podnosi się Simon i po raz trzynasty opiera się burzy płynąc z wielkiem już natężeniem biednemu ciemnemu w pomoc. Bóg pobłogosławił jego usiłowaniom i dozwolił mu szczęśliwie i tego ciemnego wyratować. —

Tym sposobem Simon wyratował 13 osób. — Szlachetny ten murzyn jest ojcem familii. — Życie swoje na pewną śmierć wystawiał, nie zważając na żonę, ani dzieci; szedł tylko za głosem serca swego! —

Mąkę z kaczanów kukurydzy już wyrabiają i w naszym kraju chociaż bez opłacania się panu Marczell, i bez drogich jego aparatów. Ksiądz Sawczyński przedłożył towarzystwu gospodarskiemu próbę takowej mąki. Produkcya jest następująca: Suszy się kaczany w piecu, czy w innem przyrządzeniu a potem miele się w młynie lub na żarnach ręcznych. Osobliwie w mniejszych gospodarstwach do wykarmiania drobiu, dla krów i nierogacizny, sposób ten korzystania z kaczanów, zwykle dotąd odrzucanych bez użytku, bardzo się przydać może.

Zapowiedziany u **JEx.** hr. **Namiestnika bal** odbył się w sobotę z wielkim przepychem i świetnością. Zebranie było bardzo liczne bo do pięciuset osób było zaproszonych. Z odległych stron Galicyi przybyli na bal umyślnie: Księstwo Sanguszkowie, hrabia Wit Żeleński, hrabia Kazimierz Starzeński i przełożeni obwodowi P. P. Bochyński z Stryja, Hoffmann z Kołomyi, Andrzejowski z Złoczowa. Wszyscy wyżsi dostojnicy duchowni, wojskowi, urzędnicy, obywatele miejscy, nawet i artyści muzycy.

Bal otworzono walcem po godzinie 9-tej w chwili przybycia **Cesarzewicza Jego Mości.** Pan Tadeusz Wiśniewski jako dyrygujący tańcami otworzył go z Jej Ex. hr. Namiestnikową. Cesarzewicz pierwszego kadryla tańczył z hrabiną Namiestnikową. Potem tańczył walca z hrabianką Lewicką, polkę z p. Skrzyńską, kadryla z panią Rusocką, z panną Turkułówną i hrabiną Henrykową Fredrową. Przyczem zachowany był zwyczaj dworski, iż szambelan w imieniu Arcyksięcia angażuje i do koła wprowadza damy. Wieczerza była o pierwszej. Trzy zastawiono stoły. Cesarzewicz Jego Mość siedział przy pierwszym na dziesięć osób zastawionym, między JEx. Namiestnikową a księżną Sanguszkową. Przy tym stole był JEx. hr. Namiestnik, Feldmpr. książe Schwarzenberg, hrabina Lewicka Kajetanowa, hrabina z Mierów Badeniowa, hrabina z Rzeczyckich Fredrowa, hrabia Russocki Wł. hr. Kazimierz Starzeński. Przy drugim stole zajęły miejsce damy, przy trzecim same prawie panny. Po skończonej przez damy wieczerzy zasiedli przy tych samych stołach mężczyźni. Cesarzewicz Jego Mość tańczył bardzo wiele, rozmawiał z paniami żywo i dopiero o pół do czwartej bal opuścił.

Stroje balowe pań odznaczały się i bogactwem, i wytwornym i pięknym gustem. Panienki biało po większej części ubrane; przytem kilka niebieskich i różowych sukien. Na głowie po wielkiej części białe kwiaty i suknie spodnie atłasowe, po wierzchu przejrzyste haftowane. W kwiatach jak to w ostatniem sprawozdaniu o modach donieśliśmy, wiele złotych i śrebrnych liści i prążków. Między pannami największe wrażenie sprawiła piękna postać księżniczki Sanguszkownej. Ubrania na głowie *à la Valois.* Osobliwie młodszym osobom prześlicznie w nich do twarzy. Panie, które w ostatnich czasach bawiły za granicą odznaczały się szczególnie pięknym i bardzo gustownym, a przytem bardzo pojedyńczym ubiorem. W gazecie lwowskiej czytamy następujący opis sukien pojedyńczych:

Jej Ekscel. JW. hr. Gołuchowskiej suknia biała krepowa: ozdobna falbanami, bogato (zielonemi) peliami i złotem haftowanemi, te podpięte bukietami z kwiatów zielonych ze złotem. — Na głowie ubranej *à la Valois* girlanda zielona ze złotem — (i z srebrnemi winogronami prześlicznie spadającemi.) — JO. Księżnej Sanguszkowej suknia perłowa adamaszkowa z falbanami koronkowemi. Na głowie pióra *Marabout*, z dyademem brylantowym. — Księżniczki Heleny Sanguszkowej suknia biała w kwiaty, podpinana kwiatami białemi z śrebrem, z bertą w kwiaty ubraną. Na głowie kwiaty ze srebrem. — JW. z hr. Borkowskich hr. Rusockiej suknia żółta koloru *bouton d'or*, strojna wolantami, złotem i śrebrem przerabianemi. Na głowie girlanda biała *à l'Odalisque*, przerabiana złotem, klamrowana bukietami brylantowemi. — JW. hr. Lewickiej suknia niebieska atłasowa z dwoma wolantami koronkowemi — przód stanika ozdobny w brylanty; naszyjnik także brylantowy. Na głowie ubranie z piórek niebieskich rzadkiej piękności, przekładany brylantami. — JW. Zofii hrabianki Lewickiej suknia *tule illusion* o trzech tunikach, białemi peliami haftowanych. — Głowa ubrana w kwiaty białe ze śrebrem. — W. Heleny Turkułówney suknia biała krepowa, różowemi peliami ze złotem haftowana, i podobną frenzlą obszyta. Na głowie kwiaty różowe ze złotem. — JW. Michaliny hr. Badeniowej suknia różowa adamaszkowa o falbanach koronkowych, podpinanych różnobarwnemi różami. Na głowie odpowiedna girlanda. — W. Zagórskiej sukia *en tulle illusion*, przerabiana srebrem. Na głowie białe kwiaty (i prześliczne białe astry we włosach.) — JW. Marji hr. Karnickiej suknia z białej gładkiej tkaniny w prążki srebrne. Na głowie biała girlanda ze śrebrem. — JW. baronówney Lederer suknia biała o trzech falbanach *à la Bayadere*, w pasy niebieskie i srebrne.

W następnym numerze galeryą pięknych ubiorów będziem starać się dopełnić innemi jeszcze, których opisy zebrać mogliśmy.

Wojna nad Dunajem, wojna w Azyi, wojna na czarnem morzu! O tem wiecie! Ale nie wiecie że i w Warszawie wybuchła wojna i to straszna, okropna, zacięta! Szermierki ostre gradem lecą. Biją się do krwi. — A kto? dzienniki. Gazeta Warszawska i Dziennik Warszawski w otwartym trwają boju. Za Dziennikiem w pomoc zdąża Kuryer i Gazeta policyjna. A stojąca z boku Gazeta codzienna niby rozjemczyni stanęła do sądu, lecz oberwała dobrze po tebinkach za to, iż śród zaciętego boju neutralność zachować chciała! A przyczyna wojny? spytacie. Trudno ją określić, zupełnie jak w kwestyi tureckiej. Niby to jest przyczyna i niby jej niema. Do walki dał powód pan Wacław Szymanowski krytyką „Diabła," powieści Kraszewskiego i jego listów, zamieszczanych w Gazecie Warszawskiej. Wiele jest prawdy w tej krytyce ale więcej jeszcze przesady. A co najważniejsza iż tak poważnego pisarza trzeba było i poważniej traktować, a nie niby dowcipnem śmieszkowaniem. Na tę nieźrałą recenzyę oburzyła się Gazeta Warszawska. Odparła zarzuty niewczesne, ale i te zanadto osobistości pana Sz. dotknęła. Z tego wywiązała się dalsza wojna. Jedna strona drugiej litanią jej prawdziwych i domniemywanych grzechów recytuje. Najzabawniejsza jest iż Dziennik Warszawski zarzuca Gazecie, iż dając sprawę z wychodzących dzieł wyjątki z nich przedrukowuje. My byśmy to za ważną mieli przysługę, iż o ciekawszych rzeczach z dzieł których nie wiele rozchodzi się po kraju, Gazeta kilkatysiecy bijąca egzemplarzy, wiadomość obszerniejszą podaje.

Najciekawsze **zastosowania elektryczności** w ostatnich czasach, jest w użyciu jej do telegrafji fortepianowej. Jest to taki przyrząd, że gdyby naprzykład Liszt grał na fortepianie w swoim salonie, a ten był połączony drutami przeprowadzającemi elektryczność z fortepianami znajdującemi się w najodleglejszych miejscach od niego, wszystko co tylko ów potentat fortepianowy zagrałby u siebie, zostałoby jednocześnie niewidzalną siłą odegrane bez opuszczenia choćby jednej cztery razy wiązanej notki, na wszystkich innych fortepianach połączonych z jego instrumentem. Zastosowanie to siły elektrycznej, jest co najmniej ciekawe i osobliwe, bo tym sposobem w stu miejscach jednocześnie tysiące osób może korzystać z koncertu, granego choćby w zupełnie samotnym saloniku wielkiego artysty. Możemy śmiało powiedzieć, że zastosowania sił elektryczności, jeszcze są dalekie od wyczerpania.

Prosty robotnik mechaniczny przy kolei żelaznej w Bordeaux, p. Flaigman, wynalazł sposób uczynienia zupełnie niepodobnemi wszelkich spotkań niebezpiecznych dwóch pociągów. Za pomocą elektryczności, mają się poruszać przez samą jadącą lokomotywę sygnały ostrzegające na 700 metrów odległości, przy zbliżaniu się do zakrętów i tunelów. Robiono już próby, które się powiodły najzupełniej.

Od niejakiego czasu weszło w zwyczaj **dyrekcyi teatru** przerzucać według upodobania przedstawieniami polskiemi i niemieckiemi. Podczas gdy publiczność tak niemiecka jak i polska od lat wielu przyzwyczaiła się do pewnych stałych dni w tygodniu, i podług tego naprzód urządza się, jak i gdzie wieczory spędzać ma, dyrekcya zmienia swój porządek. Lecz dobrą naukę odniosła w przeszłym tygodniu. Dzień przedstawień polskich, piątek wziąwszy na

benefisowe niemieckie przedstawienie, tyle zdziałała, iż podobno beneficyantka będzie musiała dopłacić jeszcze.

Jeden z śpiewaków opery tutejszej pan Neuendorf, przy którego śpiewie całej publiczności słabo się robi zawsze, rozgniewany na najsłuszniejszy o nim w gazecie teatralnej wiedeńskiej ogłoszony sąd, obił przed kilku dniami kijem recenzenta w miejscu publicznem.

Fraszka. Pewien jegomość spieszył się do teatru, i uczesawszy sobie włosy, nie postrzegł, jak filut u niego właśnie będący, grzebienie mu zgrabnie w przednią kieszonkę surduta wsunął, tak, że dość widocznie z niej sterczały. Wszedł więc ów jegomość na parter i pilnie się sztuce przysłuchiwał. W między-akcie jakiś elegant przypomniał sobie, że ma iść właśnie na zabawę, i że włosy jego potrzebują pomocy fryzierskiej, a że czas naglił, nad tem rozmyślał, jakby tu fryziera do domu sprowadzić, by go prędko zaczesał. W tem obaczył blisko siebie grzebienie, z kieszeni ciekawie wyzierające. Naturalna! to godło fryzierskie! Prosił więc owego jegomościa, by na moment z nim do domu poszedł i go zaczesał. Blisko stojący wzięli to za żart, poczęli od śmiechu piano, i kończyli śmiechem donośnym. Jegomość osłupiał, spoglądnął po sobie, a nic śmiesznego nie widząc, jeszcze więcej zgłupiał, i wyniósł się z teatru. Ale elegant myśląc że wychodzi, aby mu usłużyć, pędzi za nim i jeszcze raz powtarza mu swoje życzenie. Wtedy już nagabanemu nie stało cierpliwości, i ostro na eleganta spoglądając, zaczął od słów cierpkich. Byłoby może do starcia się między niemi przyszło, gdyby nie nadszedł pan L. obydwom dobrze znany, któremu udało się nieporozumienienie wyjaśnić, i zabierających się do czubów pogodzić.

Pan N. oczekiwał wieczorem, na podwórzu domu stojąc, swego przyjaciela, który miał niebawem wyjść od pewnego tam mieszkającego pana. Pan N. czekał i czekał, a że zimno mu się zrobiło, zaczął się po podwórzu przechadzać. W tem blisko okna do pomieszkania pani należącego przeszedł, która to pani ciągle o złodziejach rozbójnikach marzyła. Ta zobaczywszy cień człowieka po pod okna przechadzającego się, zaraz wpadła na myśl, że to pewnie jakiś artysta długopalcowy, a może coś gorszego, i złapawszy za świecę wybiegła na dwór, aby obserwować co za jeden się kręci. — Podbiegła więc i w oczy panu N. zaświeciła. Ale córki tej pani widzące wybiegającą matkę, wnet za nią także ze świecami pospieszyły, i ciekawie otoczyły trochę zażenowanego pana N. Te cztery świece od razu na podwórzu się okazujące nie uszły uwadze baczonego stróża, pobiegł on z latarnią. I lokaje w tym domie mieszkającego hrabiego X. nie mając co lepszego robić, nuż za światło i za stróżem. W tym samym momencie i gospodarz domu, i jego synowie, i pokojówki, i furmani, i lokaje, zgoła wszyscy wybiegli z różnemi światłami, i formalną iluminacyę i obchód nie pochodniowy, lecz świecowy panu N. zaimprowizowali. Wystawcie sobie państwo kłopot pana N. Ledwie zdołał się wytłumaczyć atakującym!

Przy początkowych numerach „Nowin" z miesiąca lutego załączone będę ryciny mód i kroje sukien za miesiąc styczeń.

Znaczenie zeszłej szarady: **Sobole.**

Szarada.

Pierwsza zwrócona z trzecią służy
Do przesyłek rzeczy i podróży,
Druga z trzecią dwie litery
Noszą pióra i papiery;
Wszystko zakład, jak się zowie?
Z niego ludzie czerpią zdrowie.

Przyjechali dnia 27. 28. 29. i 30. do Lwowa:

PP. Bocheńska Teresa ze Stryja. Dunin Jan wł. dóbr, z Głęboki. Dobiecki Józef mand., z Sądowej wiśni. Humnicka Rozalia hr. i wł. dóbr, z Zamościa. Ponińska Wincenta księżna, z Krakowa.

PP. Jabłonowski Józef wł. dóbr, z Dołhy. Jaruntowski Jan wł. dóbr, z Hermanowic. Korytowski Erazm wł. dóbr, z Płotyczy. Lenkiewicz Wiktor wł. dóbr, z Krakowa. Pohorecki Roman wł. dóbr, z Żółkwi. Prawecki Stanisław dzw. dóbr, z Leśnik. Rubczyński Adolf wł. dóbr, z Tarnopola. Starzeński Leopold hr. wł. dóbr, z Dytkowic. Starzewski Maksymilian justyc., z Żółkwi. Torosiewicz Emil wł. dóbr, z Brzeżan. Ujejski Kornel wł. dóbr, z Lubczy. Ujejski Bronisław wł. dóbr, z Mełna. Urbański Rudolf wł. dóbr, z Dobroszyna. Wiktor Tadeusz i Walentyn z Żółkwi.

PP. Augustynowicz Bolesław wł. dóbr, z Kniaża. Chądzyński Józef rz. dóbr, z Rusinia. Drohojewski Henryk dzw. dóbr, z Zubowychmostów. Czaykowski Adolf wł. dóbr, z Bóbrki. Gutowski Władysław wł. dóbr, z Dobrowlan. Glixelli Teodor wł. dóbr, z Glinian. Jastrzębowski Aleksander poczmistrz, z Podhorzec. Kozaryn Fabian dzw. dóbr, z Oryszkowiec. Leo Edward c. k. fin. sekr., z Stebnika. Turek Franciszek med. dr., z Drohobycza. Uniatycki Józef wł. dóbr, z Jamelnicy. Zalewski Antoni rz. z Krosienka.

PP. Berezowski Henryk dzw. dóbr, z Wodnik. Dzieduszycka Paulina hr. i wł. dóbr, z Poturzyc. Dzierzowski Emil wł. dóbr, z Czołhanicy. O'Donnel Henryk hr. c. k. szambelan, z Bełzca. Stupnicki Teodor pleban, z Chodorowa.

Wyjechali dnia 27. 28. 29. i 30. stycznia ze Lwowa:

PP. Krzyżanowski Jan wł. dóbr, do Kamionki. Mochnacki Ignacy wł. dóbr, do Tarnopola. Müller Karol c. k. major, do Krakowa. Siemianowski Franciszek wł. dóbr, do Krakowa. Victorini Ottomar wł. realności do Zelechowa. Tyszkiewicz Antoni dzw. dóbr, do Podhajec. Ziembowicz Jan wł. dóbr, do Stanisławowa.

PP. Berezowski Grzegorz pleban, do Bukaczowiec. Dudyński Bazyl pleban, do Narajowa. Jaworski Ludwik wł. dóbr, do Jarosławia. Wolski Marcin rz. dóbr, dr Kamionki strumiłowej. Wojnarowski Antoni dzw. dóbr, do Krzywego. Wybranowski Roman dzw. dóbr, do Horodysławic. Wysocki Floryan wł. dóbr, do Chodorowa. Załęski Gabryel wł. dóbr, do Jarosławia.

PP. Andrzejowski Piotr c. k. radca gub. i starosta, do Złoczowa. Pasławski Konstanty wł. dóbr, do Grodowic.

P. Mier Feliks hr. wł. dóbr, do Buska.

Lwów 30. stycznia. — Na dzisiejszym targu płacono korzec Pszenicy ozimej po 19 złr. — kr. do 21 złr. — kr. — Żyta po 15 złr. 7 kr. do 15 złr. 32 kr. Jęczmienia po 11 złr. 47 kr. do 12 złr. 15 kr. Owsa po 7 złr. 45 kr. do 8 złr. 15 kr. Grochu po — złr. — kr. do — złr. — kr. Hreczki po 13 złr. 45 kr. do — złr. — kr. — Ziemniaków po 8 złr. 30 kr. do — złr. Sąg drzewa bukowego 26 złr. 15 kr. do — złr. — kr. Sosnowego po 22 złr. 45 kr. do — złr. — kr. w. w. Centnar siana 2 złr. 13 kr. do złr. — kr. — Centnar słomy 1 złr. 41 kr. do — złr. — kr. w. w.

Kurs lwowski.

Dnia 31. Stycznia.		gotówką				towarem.	
Dukat holenderski	złr.	5	kr.	49	złr.	5	kr. 53.
Dukat cesarski	"	5	"	53	"	5	" 58.
Półimperyał zł. rosyjski	"	10	"	10	"	10	" 14.
Rubel srebrny rosyjski	"	1	"	59	"	2	" —.
Talar pruski	"	1	"	49	"	1	" 51.
Polski kurant i pięciozłotówka	"	1	"	28	"	1	" 29.
Galicyjskie listy zastawne za 100 złr. . . .	"	90	"	30	"	90	" 48.

Kurs telegraficzny z Wiednia 30. stycznia o 2 g. popołudniu.

Amszterdam 107$^{1}/_{8}$. Augsburg 127. Frankfurt 126$^{1}/_{4}$. Hamburg 94. Liwurno 123. Medyolan 123$^{1}/_{2}$. Genua. – Londyn 12. 18. Marsylia — Paryż 148. Bukareszt. — Konstantynopol. — Agio duk. ces. 32. Srebra agio 26$^{1}/_{4}$. Pożyczka 5% 90. 4$^{1}/_{2}$ 80$^{3}/_{8}$. Pożyczka lit. B. — Akcye banku 1308. Kolej północna 2285. Obl. ind. 5% —.

☞ Z powodu święta Numer „**Nowin**" czwartkowy będzie wydany jutro wieczór przed 7. godziną.

Wydawca i odpowiedzialny za redakcyą: **H. W. Kallenbach.** Z drukarni **E. Winiarza.**

W księgarni H. W. Kallenbacha nabyć można

w drukarni C. A. Köhlera w Brodnicy (Strassburg) w Prusach zachodnich wykończone w tych dniach drugie poprawne wydanie dziełka:

GOSPODARZ.

Część pierwsza: **rolnictwo**; — część druga: **chodowanie i choroby koni, bydła i owiec**; — część trzecia: **ogrodnictwo**; — część czwarta: **pszczelnictwo**,

przez Ignacego Łyskowskiego.

w 8ce X i 212 str. oprawne Złr. 1.

To encyklopedyczno-gospodarskie dzieło poświęcił autor pomniejszym właścicielom rolniczym. Coraz większy upadek pomniejszych gospodarstw spowodował go do tej pracy. Krytyka

Ziemianin (poszyt Grudzień 1852). „Pragniemy, ażeby „publiczność przyjęła dziełko to w ten sposób, jak za„sługuje; nie możemy tu wyliczyć wszystkich zalet je„go, ani zastanowić się nad szczegółowem jego roz„biorem, gdyż jak powyżej autor uczynił wzmiankę, „redakcya Ziemianina jest niejako solidarnie związa„na z wydawnictwem tego dziełka. To jednak sumienne „możemy dać świadectwo autorowi: że uświęcone nauką „i doświadczeniem prawdy i zasady rolnicze umiał tre„ściwie i w pewnem logicznem porządku przedstawić; „w przypadkach zaś, gdzie jako doradzca sam występ„puje, tam zawsze sąd zdrowy przebija: a jeźli się gdzie„kolwiek wkradło to lub owe osobiste uprzedzenie lub „mylne wyobrażenie autora, to nie w głównych i kar„dynalnych zarysach, ale w szczegółach, które różni „gospodarze różnie pojmują. — Zgoła, jest to dziełko „encyklopedyczne gospodarskie, dla gospodarzy średnie„go majątku pierwsze w swoim rodzaju."

Czas (Nr. 58 z 12. marca 1853). „Gospodarz. Pod „tym tytułem wyszła książka w Brodnicy w zachodnich „Prusach przez P. Ignacego Łyskowskiego. Nie „wielka to książka pod względem objętości, bo tylko 15 „arkuszy druku obejmująca, ale mieści w sobie co mo„że być użytecznem dla rolników nieobeznanych z więk„szemi dziełami . . . . — Nieznamy książki, któraby „w mniejszej objętości więcej zawierała. Autor wykła„da rzecz jasno, porządnie, dokładnie. Jako pierwsze „zasady nauki gospodarskiej, możemy dzieło to polecić „wszystkim początkowym gospodarzom, mianowicie tym, „którzy ogromu dzieł gospodarskich czytać nie mają ani „czasu ani sposobności...... Gdy w Prusach zachodnich dru„kowane książki dla ludu są pisane po największej części „zepsutą polszczyzną, prócz innych korzyści, jakie wy„dać może książka niniejsza jest i ta, że z niej miesz„kańcy tej prowincyi uczyć się mogą po polsku. Wdzię„czność więc należy się autorowi za nadzwyczajną taniość „dziełka, za gruntowny wykład nauki gospodarskiej i „za przyczynienie się do uprawy języka w stronach, „w których chcą się uczyć czystego narodowego ję„zyka."

osądziła to dzieło nader korzystnie; całe pierwsze wydanie rozkupiono w kilku miesiącach, co w polskiem wydawnictwie rzadkiem zdarzeniem, — to świadczy że autor potrzebę odgadł, a pomysł szczęśliwie wykonał. Drugie wydanie wyszło w czterech tysiącach egzemplarzy.

(6—1.)

Dokładny Słownik

NIEMIECKO-POLSKI

krytycznie wypracowany

przez **K. C. Mrongowiusza.**

wydanie trzecie, o kilka tysięcy słów pomnożone i poprawione przejrzał i znacznie pomnożył

Dr. W. Wyszomierski.

1854 w wielkim słownikowym formacie in 8. w jednym tomie 3 tal. 6 sgr. (Dawniejsze daleko szczuplejsze wydanie kosztowało 4 tal. 15 sgr.)

To dzieło uznane powszechnie jako najlepsze między słownikami, przez opracowanie nowe i bardzo staranne, odpowiednie dzisiejszemu stanowi nauk i rozwinięcia się języka, wydane jest teraz w formacie dogodniejszym na przedniejszym papierze a taniej przychodzi niż dawniejsze edycye.

Polsko-niemiecka część jest również do nabycia pojedyńczo po 4 tal. 11¼ sgr. razem z częścią niemiecko-polską wzięta przyjdzie na 3 tal. 6 sgr. — to jest, za obiedwie części 6 tal. 12 sgr. (Tal. liczy się po 1 złr. 48 kr.)

Królewiec, w styczniu 1854.

Bracia Bornträgerowie. (2—2.)

NARODY

na ziemiach sławiańskich przed powstaniem Polski.

Joachima Lelewela

w dziejach narodowych polskich postrzeżenia.

Tom do wieków średnich wstępny.

w duż. 8ce. Poznań 1853.— Cena 14 złr. — mon. konw. (7—1)

LIST ŻELAZNY.

Tragedya na podaniu historycznem osnuta

przez Ant. Małeckiego

w pięciu aktach. Wydanie ozdobne w 8ce dużej. 116 str. Poznań 1854. — Cena 2 Złr. 24 kr. (8—1)

Tańce karnawałowe na rok 1854:

Berski, Adam

4 mazures pour le le Piano. op. 8. 30 kr.

Gnatkowska, P.

Vesta-mazures pour le Piano. 30 kr.

Madejski, M.

Les étoiles. Trois Valses. 30 kr.

Popper, Fr.

Quadrille de l' opera „Nabucodonosor". 30 kr.

RUCKGABER, J.

Quadrilles sur des airs favoris de l' opera „Indra" de Flotow. 30 kr.

Rudkowski, M.

Grande mazure. Troisième edition, 24. kr.

GUNGL, JOSEPH

Frühlings-Boten-Walzer, op. 109. 54 kr.

Strauss, Johann

Pepita Polka, op. 138. 24 kr. (3—2)

Nakładem **E. Winiarza we Lwowie** wyszedł z druku

i jest w każdej porządnej księgarni do nabycia:

DOKŁADNY SŁOWNIK

FRANCUSKO-POLSKI I POLSKO-FRANCUSKI.

podług najlepszych źródeł

PRZEZ W. JANUSZA.

2 oddziały, w wielkiej 12ce, cena 8 złr. m. k. oprawna na sposób angielski 9. złr. 24 kr.

Każda część sprzedaje się także *osobno*, a mianowicie:

oddział francusko-polski, 700 stronic obejmujący	3 Złr.	—	kr.
oprawny	3 „	36	„
oddział polsko-francuski, 1300 stronic obejmujący	5 „	—	„
oprawny	5 „	48	„

Dawno już czuć się dawał brak słownika polskiego i francuskiego języka, któryby, zastósowany do praktycznego użytku, przy miernej objętości, był zupełnie ukończony. Słownik Trotza, jakkolwiek swoich czasów uznany za najlepszy, ale nadto wielki i drogi, zestarzał się już od dawna; kilka innych później wyszłych słowników w tych dwóch językach jako nie dosyć obszerne i niedokładne, nieodpowiadają celowi swemu; słownik francuski i polski nareszcie, przed kilkoma laty wyszły w Paryżu, z którego równie jak i ze „słownika Akademii francuskiej" korzystano przy wypracowaniu słownika niniejszym ogłoszonego, był dotąd najdokładniejszy, ale z powodu złego druku, małego formatu i w ogóle z powodu nieodpowiednego celowi obrobienia całego, przy cenie nadto wysokiej, nie zdołał dogodzić właściwej potrzebie zupełnie ukończonego, praktycznego i taniego słownika, zastósowanego do użytku podręcznego.

Wydawca oddaje niniejszym w ręce publiczności słownik języka francuskiego i polskiego, który zdoła zadość uczynić potrzebom, jakie żaden z dotychczas wyszłych słowników tego rodzaju w takiem stopniu a nawet zupełnie nie zaspokoił; zawiera on bowiem nie tylko wszystkie aż do najnowszych czasów używane słowa i wyrazy techniczne najzrozumialej oddane, a ściśnięte w objętość miernej książki; ale nawet co do typograficznego przystrojenia, jako to: druku, papieru, doskonałych, nowych i wygodnych do czytania czcionek, jest tak ładne i odpowiedno celowi wyposażony, że prawdziwie trudno by przyszło znaleść w jakimkolwiek innym języku podobne jemu wydanie.

Przy tych wszystkich zaletach, ceną onegoż jest tak słusznie umiarkowana, jak się to jeszcze nie zdarzyło przy żadnym innym słowniku tego rodzaju i tej objętości.

Prawdziwie znakomite właściwości tego słownika, które mu w zwykłem używaniu tak dla literatury jako też i dla nauki nadają zaletę praktyczności i doskonałości, zapewnia mu niechybnie jak najrozleglejszą wziętość; wydawca zatem mniema słusznie, że może go polecić publiczności w ogóle, a szczególnie nauczycielom i uczniom języka francuskiego. (12—1)

Von der bei **Engelhorn & Hochdanz** in Stuttgart erscheinenden

Allgemeinen Muster-Zeitung,

Album für weibliche Arbeiten und Moden,

Preis für das Vierteljahr ½ thlr.

ist Nr. 1 für 1854 bereits ausgegeben, und werden von jeder Buchhandlung und allen Postämtern Bestellungen darauf angenommen. Als Gratis-Zugabe liefern wir von nun an jedes Vierteljahr ein schönes **Album für weibliche Arbeiten**, welches erstmals im December d. J., dann aber je mit der ersten Nummer jeden Quartals ausgegeben wird; wir machen im Voraus auf diese schöne und reiche Zugabe aufmerksam, und hoffen unsern verehrlichen Abonnenten damit eine ganz besondere Freude zu machen! Zu Aufträgen empfehlen sich: H. W. Kallenbach; Joh. Milikowski, H. Stengel; W. Stockmann; K. Wild in Lemberg. (9—1)

Handel Antoniego Schicka wdowy

we Lwowie przy ulicy dykasteryalnej

otrzymał temi dniami wielki transport

francuskich i angielskich perfum, pomady i mydeł.

Za ich prawdziwość garantuje handel.

Uważną osobliwie czyni Szanowną Publiczność na

Perfumy Lubinego i Societé hygiènique,

we wszelkich zapachach;

Angielskie West-End, Jenny Lind, Springflowers,

Jockey-Club, Essbouquet;

Pomady Societé hygiènique

Mydła Pivera,

Kolońską wódkę Karola A. Zanoli.

Eau de Bully, ocet toaletowy bardzo sławny.

Pastę do zębów Dra. Pfeffermanna.

Tenże handel utrzymuje zawsze dobrze zaopatrzony **skład rękawiczek, krawatek**, balowych, **kołnierzyków** najnowszych, wszelkie wyroby rękawicznicze i z gummy elastycznej, czapki, hafty, bronzy, porte-monnaie i t. p. (10—1)

MICH. DYMET

we Lwowie, przy rynku w domu Wgo. Towarnickiego,

„Pod Nadzieją“

poleca swój handel towarów galanteryjnych i norymbersko-drobiazgowych, mianowicie: wyroby z metalu brytania, bakfongu, alpaku brązu i chińskiego śrebra. Artykuły kościelne: monstrancye, relikwiarze, kielichy, cymborya, trybularze, krucyfiksy, lichtarze, lampy, kropielnice, kropidła i t. p. Odlewy galanteryjne z brązu i żelaza, noże i łyżki stołowe, scyzoryki, nożyczki, lichtarze i szczypce. Wszelkie gatunki jedwabiu, bawełny, nici, plecionek, sznurkow, prepinek i szutasiu, aksamitek, sznelek, włóczek i kanwy do haftu, sieczki; paciorek i perełek, owoców i ócz szklannych, haftów zaczętych i oprawnych, guzików do koszul i sukien, kramarszczyzny i towarów odpustowych. Potrzeby gorzelniane: ciepłomierze, spirytusomierze, kwasomierze do zacieru, sacharometry i t. p. Szkła do fizykalnych i chemicznych experymentów. Oraz utrzymuje skład fabryczny deszczo- i słońco-chronów, zegarów ściennych, robót koszykarskich, płócien ceratowych gładkich i w desenie, zabawek dla dzieci i młodzieży od ordynaryjnych aż do najdroższych, obrazków, koronek, medalików i szkaplerzy.

Przytem połączony jest magazyn strojów damskich ze znacznym zapasem kapeluszów, czepków, stroików, wstążek modnych kwiatów i do tego należących towarów. —

Przyjmuje oraz obstalunki i polecenia do wykonania w miejscu, jako też w każdem innem mieście w kraju lub za granicą.

Artykuły karnawałowe.

Larwy płócienne, damskie gładkie 15 kr., pół-czarne 18 kr., męzkie 20 kr., **domina** czarne 18 kr., **karykatury i babki** 24 kr., dziecinne 15 kr., siatkowe 24 kr., krepowe 30 kr., atłasowe 1 złr., aksamitne 1 złr. 15 kr., zwierzęce 1 złr. **kwiaty balowe, gierlandy i bukiety** od 12 kr. do 3 złr., **wachlarze** balowe od 1 złr. do 8 złr., **porte-bouquets** od 1 złr. do 2 złr., **perfumy, octy, mydełka, wodę kolońską, pomady** i t. p. dostać można w handlu galanteryjnym i norymbersko-drobiazgowym Michała Dymeta we Lwowie **„pod Nadzieją.“** (1—2)



Fortepian nowy, nie ograny, jest pod N. 45¾ w domu pana E. Winiarza przy placu Franciszkańskim na dole, za 300 złr. m. k. do nabycia. (4—2)

W hotelu dawniej Śliwińskiego, dostać można **masła, letniego, jesiennego** lub **świeżego** od 2 złr. do 2 złr. 30 kr. za garniec, w faseczkach mniejszych garncowych, dwu, trzy aż do 10 garncowych. (11—1)